

Kotły Beethovenowskie

A black and white photograph of a man, Michał Choromański, in profile, looking to the left. He is wearing a dark suit jacket over a light-colored shirt and a patterned tie. He is holding a cigarette in his right hand, with the tip of the cigarette near his mouth. The background is dark and out of focus, showing the silhouette of another person in the background.

Michał

CHOROMAŃSKI

Michał Choromański

KOTŁY BEETHOVENOWSKIE

[Wydawnictwo Estymator](#)

Warszawa 2021

ISBN: 978-83-67021-60-9

Copyright © Michał Choromański

Tekst: Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1970

Projekt okładki: Marcin Labus

Spis treści

[I. STROJENIE INSTRUMENTÓW](#)

[II. USZY BEETHOVENA](#)

[III. SINOBRODA](#)

[IV. FORTISSIMO](#)

[V. KATASTAZA](#)

[VI. EDISONOWSKIE SEKRETY](#)

[VII. ZEZNANIA CON VARIATIONI](#)

[VIII. KONIEC NOCY](#)

[IX. NADŁOM I KOTŁY „IX SYMFONII”](#)

[Coda](#)

I. STROJENIE INSTRUMENTÓW

– Sąsiedzie, sąsiedzie! Otwórzcie! Czy mnie słyszycie? To ja, sąsiad Fiłomadzki z Domku pod Pelargoniami! To ja, Janek pianista! Tylko co wróciłem piechotą ze stacji!... Sąsiedzie, panie Grubowski, czy jest ktoś z was w domu? Otwórzcie! wpuście mnie zaraz!... – wołałem, waląc pięścią w blaszany parapet okna. Przez szparki w ciemnych okiennicach sączyło się skąpe czerwone światło. – Moja ciotka, zdaje się, nie żyje! – krzyknąłem.

Fantastycznie wyglądał ten jesienny wieczór! Duszny i prawie do lata podobny. Ociepliło się bowiem na powrót. Zieleniejące chmurki niczym kępki rzęsy, postrzępionej i rozdartej uderzeniem czyjegoś wiosła, szybko rozpląwały się po toni wysokiego nieba, to przysłaniając, to odsłaniając cienki delikatny sierp, utkany ze szklanych seledynowych włókien. Chmurki płynęły i migotały w wielkim pośpiechu, pędzone przez jakiś górny ciąg, aż wydawało się niekiedy, że ruch ich udziela się i samemu księżycowi, który wonczas zaczynał płasć w powietrzu nad moją głową. Coś szumiało w pobliżu – nie wiedziałem, co to mogło być, i dopiero później trzeźwą czy raczej obojętną częścią mego mózgu zrozumiałem, że to szeleści listowie wiekowego dębu, co rósł tuż za furtką Grubowskich. On jeden jeszcze w całym naszym miasteczku nie zmarł onegdajszej nocy i poranka, kiedy temperatura tak gwałtownie spadła, i to jedynie on nie zgubił prawie nic ze swego brązowego habitu. Bo skądinąd każdej jesieni – gdy żółknął – przypominał mi otyłego braciszka-franciszkanina, który postradał w jakimś nieszczęśliwym wypadku jedną grubą włochatą nogę, a na zdrowej stał. Natomiast na drewnianym chodniczku (u nas radni miasteczka nie dbali o zamiatanie ulic) leżały kupy liści – zeszłorocznych, całkiem szerniałych i pachnących zgniłą wilgocią, jak i tegorocznych, jeszcze suchych, pokręconych i niemal kruszących się pod stopą. Grzązłem w nich po kostki. Na prawo i na lewo była ćma. Ze zdenerwowania czułem się tak, jak gdybym wypił szklankę jakiejś womitywy. Znowu jąłem bębnić pięścią, tym razem nie po blasze parapetu, lecz w samą okiennicę.

Szyba zabrzęczała, prawie zabzykała. Na nasz małomiasteczkowy prastary sposób okiennicę bronił od złodziei i napastników rodzaj zawory, zakończonej metalowym a dyndającym klinem, który wsuwało się do otworu w ścianie, by od wewnątrz umocować go specjalnym uchwytem. Porwałem za tę żelazną sztabę i potrząsnąłem z całej siły. Huku przy tym narobiłem co niemiara. Ale jak na moje przerażenie i stan wszystkiego było za mało. – Sąsiedzie! – wołałem – ...proszę zrozumieć, że pani starsza... że pani Pelarganiowa... (w miasteczku ciotkę moją – acz nazwisko jej brzmiało Szmid – nazywano Pelarganiową z powodu pelargonii przeróżnych odmian i odcieni, jakie hodowała) ...proszę zrozumieć, że... leży w kałuży... w kałuży czegoś... czerwonego!... Boże! – prawie wrzasnąłem. (Słowa „krew” bałem się wymówić.)

Nie zauważyłem i nie słyszałem kroków w ich przedsionku. Po prostu naraz drzwi uchyliły się i na ganek wyszedł pan Grubowski w czarnych spodniach i bielejącej koszuli. Twarzy jego nie sposób było dostrzec, zwłaszcza początkowo.

– Panie Janku – rzekł swoim soczystym, mokrym basem pięćdziesięcioletniego mężczyzny, zadowolonego ze swej bezmyślnej egzystencji – co pan się po nocach włóczy jak Marek po piekle. To nie pana konserwatorium! Aż mi kury pan wypłoszył! o, słyszy pan, jak w kurniku trzepocą?...

Może i prawda, że coś trzepotało i prawie piał w podwórku za furtką, lecz byłem zbyt roztrzęsiony, by się wsłuchiwać. W takiej chwili! Zęby mi dzwoniły. Nie bardzo wiedziałem nawet, co mówię. Jakiś płąt mózgowy jednak funkcjonował niezależnie od mojej woli i niekiedy miałem wrażenie, iż całkiem obojętnie, rzekłbyś – niewrażliwie samemu sobie się przyglądam. Wtedy język mi się plątał jeszcze bardziej.

– Czy pan mnie nie słyszał?! – wykrzyknąłem z rozpaczą. – Przed półgodziną dopiero przyjechałem... wróciłem ze stacji... Palec mnie bolał całą drogę, palec, och, ten palec, rozpacz!... Wchodzę do nas. „Pod Pelargoniami”... w spiżarni świeci się... wywrócone krzesło... – Tu rozpaczliwie uchwyciłem Grubowolskiego za mankiet koszuli. – Patrzę... a ciocia Mela leży w kałuży czegoś... jednym słowem coś mokrego i... czerwonego! Boże... Niech pan zaraz za mną idzie... Jej się coś stało!

– Święci Pańscy! – zachnął się w zielonkawym półmroku nasz sąsiad. – Klisze mi się zepsują! Właśnie wywoływałem... Święci Pańscy! zaraz wezmę... czapkę!... – Widać również stracił głowę. Po co mu była czapka? Zorientował się w tym nonsensie i z hukiem zeskoczył z ganeczku na deski chodniczka. Drzwi zapomniał przymknąć i pozostały uchylone. Wciąż trzymałem się kurczowo jego mankieta. – Chodu, panie Janku! – zakrzyczał basem, jeszcze mokrzejszym, ale już bynajmniej nie zadowolonym. Pobiegliśmy zrazu obok siebie. Chodniczek jednak był zbyt wąski i nie mieściliśmy się na nim, zwłaszcza biegnąc i popychając się łokciami. Wnet więc wyprzedził mnie, i teraz widziałem przed sobą bielejące plecy i dwa poruszające się rękawy bez rąk – sierp księżycy bowiem powlókł się chmurkami i mglistość nocna całkiem szerniała. Wciąż biegliśmy. Deski pod naszymi butami ugiwały się i dudniły. Od domu Grubowolskich do końca uliczki Szopena odległość wynosiła ze sto pięćdziesiąt wielkich kroków. Potem chodniczek się urywał i należało skrócić na prawo, skąd skośną ścieżką, poprzez pustą „parcelę adwokacką” (bo należała do adwokata miejskiego Hawranka) można było najszybciej dostać się do Domku pod Pelargoniami. Było duszno, ciepło i wilgotno. Wcale nie październik, lecz jakby środek lipca. Deski już przestały dudnić pod naszymi nogami i teraz prawie po omacku potykając się, biegliśmy po gliniastym terenie parceli. Nie opodal już majaczyły czarne zarysy willi z jej spadzistym dachem, przypominającym niejako budowle średniowieczne, i trzema wysokimi wąskimi kominami. Po bokach strzelały w niebo sylwety topoli. W głębi zaś coś połyskiwało i zieleniło się – to w stawku odbijał się seledynowy sierp, co to znowu wyłonił się zza chmurek do rzęsy lub wodorostów podobnych. Zawiało jeszcze większą wilgocia i czuć było bliskość wody.

Domek pod Pelargoniami stał na uboczu i gdy adresowano listy lub pocztówki do mojej ciotki i do mnie zazwyczaj pisano: *Numer 1 a) w Nowym Osiedlu*. Radni nasi bowiem i ławnicy uważali, że miasteczko w przyszłości poszerzać się będzie w tym właśnie kierunku i że koło stawu zaczną gromadzić się domki prywatne tonące w ogródkach. Ale jak na razie nad Morskim Oczkiem (w ten sposób w mieście żartobliwie ochrzczono bezimienny zresztą stawek) wystawał jedynie domek mej cioci Meli, tak że całe Nowe Osiedle zaczynało się i kończyło na numerze 1 a. Dlaczego a – tego nikt mi wytłumaczyć nie umiał. Stał ten domek frontem do wody, więc zbliżaliśmy się teraz biegiem do jego tyłów, gdzie mieściły się kuchnia i nisza kucharki oraz sień i spiżarnia, o oknach nie oświetlonych, wręcz czarnych, aczkolwiek od czasu do czasu łyskających szybami. Była przecież sobota, a każdej soboty kucharka Pawlicka miała wychodne i chodziła do kina; więc tylna połowa Domku pod Pelargoniami tonęła w kompletnych ciemnościach.

I oto gdy byliśmy już o tuzin kroków od niego, zza jego czarnego węgla wyłoniła się zapalona latarka elektryczna zawieszona na wysokości ludzkich bioder, a rzucająca trwożny pęczek światła wokoło. Tym promieniem jakby coś obmacowując, latarka naraz jęła płynąć nam naprzeciw. Kto to mógł być? – zwolniliśmy kroku i wnet stanęliśmy jak wryci, zaskoczeni, jeżeli nie wręcz przerażeni. – Swój! – krzyknął uspakajająco czyjś męski głos... Ano, jak swój – to w porządku. Po chwili znaleźliśmy się niemal twarzą w twarz z jakimś korpulentnym mężczyzną w filcowym kapeluszu zsuniętym na tył głowy. Wydawało mi się, że poznałem, kto to był, i bardzo się zdziwiłem. Dziwny niepokój, który mnie ogarnął, łączył się zarazem z psychicznym uspokojeniem. Zawsze to przyjemnie, gdy przekonujemy się, że w trudnych, dramatycznych chwilach władze przychodzą nam z odsieczą. Bo jeżeli się nie

myliłem w tej ćmie, spotęgowanej blaskiem latarki, to przed nami stał sędzia śledczy Uxakowski, którego osobiście niestety nie znałem, ale dobrze znałem z widzenia.

– Czy to pan Fiłomadzki? – spytał mężczyzna, bezceremonialnie świecąc mi wprost w oczy. Mój sąsiad, fotograf Grubowolski, widocznie go jakoś nie interesował, co było zresztą naturalne – szło przecież o życie mojej, a nie jego ciotki.

– To ja! – zawołałem prawie z wdzięcznością. – Domyślam się, że to pan sędzia, czy nie tak? Skąd pan sędzia już o tym wiedział? Boże, Boże!... – dodałem.

– A gdzie pan był dzisiejszego wieczoru? – spytał ni stąd, ni zowąd.

– Wróciłem dosłownie co tylko ze stacji, panie sędzio!... A wieczorem byłem w pociągu... warszawskim. Jeździłem zobaczyć się z moim profesorem... z profesorem Żurawlewem. Pan sędzia o nim słyszał? ten świetny pedagog pianista!

Latarka nagle zsunęła mi się z twarzy i załała światłem moje ręce, które nerwowo ocierałem jedną o drugą.

– A co pan ma z palcem? – posłyszałem pytanie.

– A to, panie sędzio, przed paroma dniami upadłem. Potem w nocy nie mogłem spać z bólu. Wczoraj w Warszawie dałem się prześwietlić... Okropnie rozpaczam! – wołałem z przejęciem, a zarazem obiektywnym niezależnym płatem swego mózgu konstatuując ze zdziwieniem, że... że właściwie obaj mówimy całkiem nie o tym, o czym należało mówić, a mianowicie nie o cioci Meli. – Okropnie rozpaczam! – powtórzyłem. – Rentgen nie wykazał pęknięcia kości na wskazującym palcu tej, prawej ręki... Ale obecnie znów coś strzyka! Czy pan sędzia zdaje sobie sprawę, co... co to może znaczyć dla pianisty?

– To pan mówi, że pana dzisiejszego wieczoru nie było w domu? – spytał Uxakowski i trochę niezrozumiałym wydał mi się ton jego głosu. – A kto w takim razie grał na fortepianie u was w bawialni o wpół do dziewiątej wieczorem?

Ogromnie się zdziwiłem. – Co? co?

Latarka znowu załała mi oczy rażącym blaskiem.

– A czy ktoś grał? ciekawe! A czy grał chociaż dobrze i co on takiego grał, pan sędzia nie wie? – spytałem głupio.

Aczkolwiek niezupełnie głupio. Podświadomie dążyłem do tego, by się wybielić w jego oczach. Albowiem nagle wydało mi się, że tego wybielenia potrzebuję na gwałt. Nie wiem czemu. Więc pomyślałem w głębi duszy, że gdyby się okazało, iż ktoś grał na naszym fortepianie, dajmy na to Debussy'ego – mógłbym od razu zawołać: to nie ja! to nie ja! Nie trawię tego kompozytora. Niestety stało się coś całkiem nieoczekiwanego.

– Owszem, wiem – odpowiedział. – Ktoś grał z początku Bacha, a potem Beethovenowską *Sonatę Appassionatę*!

Mało że się nie zakrztusiłem. Przede wszystkim z rosnącego zdumienia, a poza tym i z niewytłumaczonej paniki. Szło o to, że *Sonatę f-moll*, opus 57, akurat ostatnimi czasy ćwiczyłem, Bacha również. Czego on ode mnie chce? myślałem. Czemu tu stoimy, zamiast biec do cioci Meli? Dlaczego mnie przetrzymuje i bierze na spytki? Odruchowo przysłoniłem sobie usta dłonią o wyprostowanym palcu wskazującym, udając, że po prostu zachciało mi się kaszlnąć. Widziałem obok siebie bielejącą koszulę Grubowolskiego, który najwidoczniej również był zdumiony tym wszystkim. Przepiękował z nogi na nogę.

– Paluszek! – naraz prawie czule odezwał się sędzia. – Paluszek – powtórzył.

Nie wiedziałem, ale to zupełnie nie wiedziałem, o co mu szło, i ogarniała mnie coraz większa nieswojość...

*

Być może, jednak będzie lepiej zacząć od początku. Nawet nie od uwertury, lecz od strojenia instrumentów. Historia niniejsza nie jest zadedykowana nieszczęściu, jakie spotkało

moją ciocię – ciocię, której z całego serca nienawidziłem. Jestem i pozostanę do końca najzupełniej szczerym. O ciocię Melę tu nie idzie. Idzie wyłącznie i przede wszystkim o niejakiego pana Ludomira Sebastiana Sztona. To jemu poświęcam te strony. Zawitał on do naszej prowincjonalnej dziury przed niecałym półroczem, zatem nie był tutejszy, a raczej intruz. Przyleciał i wnet odleciał. Niekiedy był intruzem w bardzo dotkliwym znaczeniu tego słowa. Ale przedtem dorzucę trochę szczegółów o samej dziurze, zapadłej, zapomnianej przez Boga... i zabitej deskami...

W środku jej znajdował się oczywista miniaturowy rynek z ratuszem-zabawką, a w środku rynku – okrągły klomb, co od wiosny do jesieni zawsze błyszczał kwiatami. Czyja to była zasługa, o tym przy sposobności. Wokoło klombu stały pomalowane na szaro, przekrzywione ławeczki ogrodowe. Najszersza centralna ulica, co biegła wzdłuż frontonu Ratusza, nazywała się Poselska. Inna ulica, która biegła wzdłuż bocznej ściany ratusza, nosiła imię Św. Marka. Na dwóch innych, wrzynających się w rynek (bo wszak otoczony był uliczkami z czterech stron), widniały tabliczki: Kołtąja i Ogrodowa.

Kancelarie Ratusza mieściły się na piętrze, natomiast na parterze, przypominającym w pomniejszeniu sukiennice krakowskie, za filarami i szeregiem łukowatych sklepień widniały ubożuchne okna wystawowe paru sklepów oraz trzy inne okna z białym napisem: *Restauracja*. Kościół z ciemnej cegły znajdował się w głębi Ogrodowej, wraz z plebanią, która spowita była cała powojami. Doktorka mieszkała przy tejże ulicy. Natomiast chirurg, lekarz naczelny szpitala na 26 łóżek, zamieszkiwał przy nim, niemal u samego końca ulicy Kołtąja. Rozumie się, był tam także i notariusz, któremu jednak zmarło się przed półrokiem. Wtedy dowiedzieliśmy się raptem, że miał on siostrzeńca, o nazwisku na razie nie znanym, który odziedziczył po nim jego skromny parterowy domek, mający na zapleczu ogródek, a położony w zaułku Fabrycznym, co w pewnym miejscu przecinał Poselską i nieco krzywo i stromo zbiegał w dół ku splajtowanej (i już zamkniętej) fabrycznej naczyni emaliowanych czy czegoś w tym rodzaju.

Owóż któregoś popołudnia dokładnie przed pięcioma miesiącami, czyli w maju, wracałem zaułkiem Fabrycznym do domu, w obłokach kurzu i z wędką na ramieniu. W pewnej chwili, gdy już zbliżałem się do domu notariusza, dopędził mnie jakiś młody pan, zgrabnie ominął i szybkim elastycznym krokiem podążył w górę – zaułek, jak powiedziałem, był dość stromy i zawiły.

Teraz jednak zmuszony jestem do opisów bardziej dokładnych. Idący przede mną młodzieniec, sądząc z ruchów i zwinności ciała, mógł mieć najwyżej lat dwadzieścia i parę, czyli był w moim wieku. Nosił kremowe flanelowe spodnie w granatowy rzucik oraz aksamitną kurtkę koloru bleu électrique. Był bez kapelusza i jasnoorzechowe włosy, raczej przydługie, czesał do tyłu. Miał wąską talię – prawie kibić dziewczęcą. W rękę trzymał laseczkę ze skórzana rączką i nieraz tę laseczkę obracał między palcami w sposób lekkomyślny i trochę wodewilowy. Gdy ów młody facet doszedł do bramki notariusza, nagle przystanął i jął macać się po kieszeniach, jakby szukając klucza. Wówczas domyśliłem się, kto to mógł być. Siostrzeniec zmarłego reagenta, nie inaczej!

Młodzieniec wciąż macał się po kieszeniach, ja zaś tymczasem go dopędziłem i z nim się zrównałem. I wtedy o mało nie zakląłem i musiałem stłumić w swej piersi westchnienie najwyższego osłupienia. Bo i co się stało? Tyle tylko, że zobaczyłem teraz owego pana nie z tyłu, lecz z boku, a potem gdy minąłem go i odwróciłem głowę – ujrzałem go en face. To było nie do wiary! Siostrzeniec notariusza – jeżeli to był rzeczywiście on – wyglądający z tyłu jak dwudziestoparoletni młodzieniec, z przodu okazał się mniej więcej sześćdziesięciokilkuletnim staruszką. Takiej pomarszczonej, porysowanej twarzy jeszcze w życiu nie widziałem! Miał jasnoblękitne, jakby spłowiałe w słońcu, zażawione oczy, z całą siatką zmarszczek. I trzeba dodać, że to nie była przedwczesna starość, to była starość autentyczna. Ale w jaki sposób nieboszczyk notariusz, który zamknął oczy sam mając około sześćdziesiątki, mógł mieć

siostrzeńca prawie odeń starszego wiekiem? Z początku nie mogłem tego pojąć i pomyślałem, że tu się gdzieś kryje nieporozumienie.

– Dzień dobry, dzień dobry panu! – zawołał wtem z niezwykłą emfazą, niemal z teatralnym czy też poetyckim patosem ów pan z młodzieńczą figurą, ruchami i elastycznością, ale też i ze starczą, pomarszczoną twarzą.

Nieco zaskoczony, a nawet speszony tym okrzykiem, niezgrabnie zdjąłem z głowy płócienną cyklistówkę.

– Dzień dobry – rzekłem.

– Piękna pogoda!

– Tak jest, tak jest.

– Nazywam się Sebastian Szton.

– Bardzo mi miło – odpowiedziałem jeszcze niezgrabnie. Coś bowiem w tym panu Sebastianie Sztonie było nader krępującego, nie wiem, jak to określić – czułem się jak panienka, którą zaczepił stary wytrawny lowelas. Aż niemal się zarumieniłem.

Pan Szton widocznie to zauważył, bo uśmiechnął się jedną połową swej starczej twarzy.

Uśmiechnął się, jakby chcąc mi dodać odwagi („nie krępuj się, młodzieńcze, i nie wstydz!” mówił ten uśmiech), a zarazem jak ktoś, kto jest pewien swych powabów nie do odparcia. Coś na swój sposób mizdrzącego się, ale i władczo jaśniało w jego wypłowiałym, jakby akwarelowym wzroku. W ogóle było w nim coś ze starej akwareli na wyżółkłym papierze, do której kiedyś więcej użyto wody niż farby. Nie opalona wyblakła twarz, wygolone, poorane fałdeczkami policzki o blond-rudawym widocznie zaroście (bo takie owłosienie po pociągnięciu brzytwą nie pozostawia po sobie śladu), białawy błękit oczu itd. – wszystko było stonowane, żeby nie powiedzieć zwietrzałe, a nawet zmurszałe przez lata i gdyby nie wargi, starcza fisis Sztona uszłaby w towarzystwie czy na ulicy naszej uwadze. Ale te wargi! Niezwykle kontrastujące z całością, sprawiały nieobytemu widzowi, każdemu nowemu znajomemu Sztona, trochę szokującą, odruchowo niemiłą niespodziankę. Dość sobie cienie, czerwieniły się bowiem do takiego stopnia, iż wydawało się, że są mocno podmalowane damską pomadką. Satyriasis! oto, co mogło przyjść potem do głowy takiemu widzowi, gdyby był starszy ode mnie wiekiem i bardziej doświadczony lub gdyby nie należał do mieszkańców naszego grodku, którzy wszak o takim słowie czy pojęciu nigdy nie słyszeli... (Z wyjątkiem – dodam – być może, paru lekarzy, ale i tu śmiem wątpić, gdyż specjalistami od seksuologii nie byli, a termin „satyriasis” z pewnością już dawno wyparował im z ich prowincjonalnych i do reszty zardzewiałych czerepów.)

Wtem – wciąż w ten krępujący sposób uśmiechnięty – Szton coś nagle wypowiedział na całą niemal ulicę, wypowiedział, grassejując jak paryżanin, patetycznie i trochę zawodząco, rzekłbyś, poetyzując skandując każdą sylabę. Czyżby deklamował? pomyślałem nad wyraz zaskoczony. To, co wyrzekł, w istocie miało rytm wiersza. Pamiętam dokładnie wszystkie słowa tego początkowego zwrotu:

– Jest dziwna miłość, której jakoś wstyd... – zarecytował śpiewnie i patrząc na mnie niezrozumiale. Dopiero teraz zauważyłem, że miał w klapie narcyza.

– Nie rozumiem – prawie wymamlałem. – Pan o czym?

– A czy pan nie lubi poezji?

– O, pan o Mickiewiczu lub o Norwidzie? – wyrzekłem z ulgą. Widocznie jednak nie cierpiałem na samozłudy słuchowe, o co się już mogłem obawiać, a nowo poznany jegomość rzeczywiście cytował jakiś poemat. Ale dziwność pozostawała dziwnością. Zwłaszcza na tle naszej dziury. Bo i skąd taki niecodzienny wstęp do konwersacji? Kto by u nas na uliczkach deklamował wiersze, i to takim wabiącym ekscentrycznym głosem.

– Ani Adam, ani Cyprian! – posłyszałem w odpowiedzi. – To był początek sonetu lorda Douglasa.

Wyznam ze wstydem, że podtenczas nic nie słyszałem o żadnym lordzie Douglasie. Musiałem mieć niewyraźną minę.

– W moim przekładzie! – ciągnął z emfazą i wciąż po deklamatorsku pan Szton. Potem miałem możność przekonać się, że w ogóle miał ten zwyczaj i mówiąc – stale jakby coś pięknego recytował. Nawet przyzwyczałem się z czasem do tego. Jednakże obecnie byłem jego głosem skądinąd moralnie oszołomiony. – Ale na pierwszej linijce wiersza tłumaczenie moje się urwało i skończyło – roześmiał się. – Bo nie wiem, czy pan sobie zdaje sprawę, jakie trudności nastręcza sonet, jeżeli chcemy go napisać według żelaznych reguł Quattrocento. – Speszylem się jeszcze bardziej. – Znałem w życiu wielu poetów, ale nikt z nich nie wiedział, na czym prawdziwy sonet powinien polegać. Wyznam panu w tajemnicy, bo wierzę, że pan mnie nie zdradzi – z lekka pochylił się ku mnie Szton – że nawet twórca Sonetów Krymskich nie bardzo się w tym orientował.

– A jakież to są reguły? – spytałem z zaciekawieniem, chociaż Bogiem a prawdą nic mnie żadne sonety nie obchodziły.

– W sonecie ani jedno słowo, ani jedno, pan rozumie! nie może być powtórzone dwukrotnie! – wyjaśnił niejako tryumfująco.

– Jak to? dosłownie ani jedno?

– Otóż to! ani jedno! A jak się zaczyna sonet Mickiewicza *Do...* Pamięta pan? – Kiwnąłem głową, sam nie wiem czemu. – To mogę panu przypomnieć: „Patrzysz mi w oczy...” – zaczął, ja zaś w istocie przyłapałem się na tym, że nasze spojrzenia się skrzyżowały. Uczułem się dziwnie. Zaczął deklamować, znów na całą ulicę i znów grassejując:

– Patrzysz mi w oczy, wzdychasz; zgubna twa prostota
Lękaj się jadu, który w oczach żmii płonie;
Uciekaj, nim cię oddech zatruty owionie,
Jeśli nie chcesz kląć reszty twojego żywota!

Pozłacany kłęb kurzu przesunął się między nami i musiałem przez chwilę zmrużyć oczy. Gdy zaś wokół wszystko się przejaśniło, zobaczyłem, że uśmiecha się nadal swymi karminowymi, trochę damskimi wargami.

– No i co? zauważył pan? – spytał.

Wyznam, że w całej przytoczonej zwrotce dostrzegłem tylko – śmiesznie to powiedzieć – osobistą przestrozę. Że niby lękaj się jadu! uciekaj! by potem nie kląć reszty swego żywota. Ale chyba nie o to mu szło? pomyślałem. Więc pokręciłem głową przecząco.

– No jakże to! – zawołał. – Mickiewicz pisze: „Patrzysz mi w oczy...” i zaraz potem dodaje: „Lękaj się jadu, który w *oczach* żmii płonie”. Dwa razy słowo „oczy”! Rozumie pan? tego w sonecie nie powinno być. Ubolewam nad tym, że to się zdarzyło Mickiewiczowi, ale nie powinno.

– Czy może... czy może jest pan krytykiem literackim? – spytałem, bo nie wiedziałem już, co o tym wszystkim myśleć.

– Nie, broń Boże! – roześmiał się. – Jestem generałem w stanie spoczynku.

Sonety. Jakiś lord Douglas. Quattrocento. Znowu sonety. I teraz na dobitkę – generał! I to generał, który był siostrzeńcem naszego ś. p. notariusza. Byłem niemal zbity z nóg.

– Tylko błagam pana – dodał śpiesznie i dotknął mej ręki (ucułem przy tym coś w rodzaju mrowienia na skórze) – błagam nikomu w mieście o tym nie mówić. Jeszcze zaczną do mnie mówić „panie generale” przy każdej okazji. Okropnie się tego boję. – Przyłożył palec do ust. – Cyt... nikomu. Obiecuje pan?

– Ależ jak najbardziej solennie.

Wyjął narcyz z klapy, powąchał go mocno i jakby z przesadną rozkoszą, a następnie wsadził z powrotem do butonierki.

– Pamięta pan opowiadanie Maurois? kiedy do pewnego działacza politycznego przychodzi spiskowiec, mający go zamordować? Pamięta pan, jak to się skończyło?

Zmarszczyłem czoło, udając że niby coś, owszem, zaczynam sobie przypominać. Nie jestem na ogół kłamliwy, ale nie chciało mi się uchodzić w jego oczach za nieoczytanego głupka.

– W takim razie przypomnę panu – ciągnął. – Ów działacz polityczny zaprowadził go do ogrodu i do tego stopnia oczarował rozmową i w ogóle całą swoją osobą, że spiskowcowi zamierzony mord, że tak powiem, rozplynał się między palcami. Był tak urzeczony szarmem swego gospodarza, że wręcz zapomniał języka w gębie. A gdy ten działacz na zakończenie rozmowy zerwał z krzaka pąsową różę i podarował mu – to do reszty zbaraniał i wycofał się z ogrodu, trzymając tę różę i... i być może nawet ją wachając!

Cholerycznie dziwny i ciekawy jegomość! pomyślałem, nabierając do Sztona poniekąd szacunku, jeżeli nie podziwu. Kto by pomyślał, żeby u nas w zaułku Fabrycznym mogła komuś się przydarzyć taka niebanalna znajomość.

– Owszem, owszem, przypominam już sobie – skłamałem. – Ale dlaczego pan mi o tym opowiada?

Ponownie wyjął narcyza z klapy i wyciągnął go z pewną gracją i nader uprzejmie ku mojej twarzy. Uczułem pod nosem sprężyste białe płatki kwiatu i mimo woli powąchałem. Nie pachnął wcale.

– Może pan mnie kiedy odwiedzi – rzekł zamiast odpowiedzi. – Przyjechałem dopiero wczoraj wieczorem i stawiam tu pierwsze swe kroki. Nie wiedziałem, że wuj mieszkał w takim ślicznym miasteczku. – Czy to ironia? pomyślałem. Byliśmy bowiem znów otoczeni kurzem. – Z początku nie sądziłem, że tu zabawię dłużej, ale gdy zobaczyłem pewną gałązkę, zawahałem się i... teraz mam wrażenie, że tu zostanę na czas jaki.

A więc jednak wuj, skoro wspomniał o nim. A więc nie omyliłem się co do tego niepojętego faktu, że był siostrzeńcem naszego notariusza, Emila Bykowskiego, łysogo pana na krótkich nóżkach i bynajmniej – powtarzam – od niego nie starszego. Zastanawiająca sprawa... Jednakże coś innego wydało mi się jeszcze bardziej zastanawiające. Czy mnie uszy nie myliły i czy rzeczywiście wspomniał też o tym, że po zobaczeniu jakiejś gałązki zmienił zdanie i postanowił na razie z nami pozostać.

– Hę, że jak? – spytałem zaintrygowany. – Jaka gałązka?

– Tureckiego bzu.

Otworzyłem usta.

– Rozwarłem dziś z rana okno do ogródka – wytłumaczył z deklamatorskim patosem – i proszę sobie wyobrazić, do pokoju zaraz wdarła się wspaniała pachnąca gałąź z ciężkimi, wilgotnymi gronami bzu!... Więc zacząłem się wahać – ciągnął – wahać... ale ta gałązka mnie w końcu przekonała i zupełnie rozbroiła. I oto jestem tu i tutaj pozostanę.

Czy mu czasem nie brakuje piątej kleпки? pomyślałem. Czuję się jak na huśtawce. To wznosiło mnie ku sympatii i podziwowi, to rzucało w dół ku odruchowemu zakłopotaniu, a nawet niechęci i podejrzliwości. Uśmiech jego – satyriasis! – mi się nie podobał, w każdym razie drażnił. Pożegnał mnie nim oraz kiwnięciem ręki i wreszcie odnalazłszy w kieszeni klucz, znikł za drzwiami. Pozostałem na chodniczku, wciąż łypiąc zaskoczonymi oczami. Wtem, gdy wreszcie się opanowałem i odwróciłem na pięcie – posłyszałem znów jego głos.

Wyglądał zza drzwi. – Zapomniałem się o coś pana zapytać! – zawołał. – Czy w miasteczku jest szkoła muzyczna?

– Owszem, proszę pana... zniżyłem głos – ale kiepska. I poza tym, rzecz jasna, tylko dla początkujących... Aczkolwiek w swych prospektach anonsuje, że ma klasę nawet koncertową! Wyżej niż dwugłosowe *Inwencje* Bacha nikt tu nie sięgnął. I to żal się Boże!

Sonatiny Clementiego, sonaty Haydyna... Naturalnie menuet Paderewskiego... –
Zauważyłem, że spoważniał i przysłuchuje mi się nowym jakimś i penetrującym wzrokiem.
To mi schlebilo i jeszcze bardziej chciałem się popisać znajomością przedmiotu. – Jeden
jedyne walc Szopena, i to oczywista Des-dur... Żal się Boże! Córka aptekarza podobno
chwaliła się tym, że już zaczęła grać sonaty Beethovena, wie pan, z pierwszego tomu, ale
niech pan w to nie wierzy. Zresztą jeżeli pan będzie spacerował po mieście i przechodził koło
rozwartych okien, przekona się wkrótce sam, jaki tu mamy repertuar i jak tu u nas potrafią
bębnić! – Roześmiałem się ze znanstwem i dotknąłem palcami uszu.

– Czyżby, czyżby! – zawołał. – Ale pan mówi o tym tak, jak gdyby miał coś z muzyką
wspólnego. Czy zgadłem?

– Jestem uczniem w klasie fortepianu profesora Żurawlewa. W Wyższej Szkole
Muzycznej im. Szopena w Warszawie! – odpowiedziałem skromnie, a zarazem niemal drżąc
z wewnętrznej satysfakcji, że mogę czymś zaimponować.

KONIEC BEZPŁATENGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI